



Wystawa o przyznaniu praw wyborczych kobietom w Polsce w 1918 r. „Podwójnie wolne / Doppelt Frei” zorganizowana w berlińskim oddziale Instytutu Pileckiego w 2024 r.

Zagrożona misja w Berlinie

ŁUKASZ GRAJEWSKI Z BERLINA

Nowy dyrektor Instytutu Pileckiego zapowiada zmiany w berlińskim oddziale tego Instytutu. W stolicy Niemiec prowadzi on pracę edukacyjną i informacyjno-historyczną. Ta obecna formuła znajduje wielu obrońców – i to po obu stronach Odry.

PLAC PARYSKI W BERLINIE JEST ZNANY głównie z bryły Bramy Brandenburskiej, która dominuje nad otoczeniem. Od godzin porannych turyści ustawiają się, by zrobić selfie upamiętniające ich pobyt w Berlinie.

Jednak plac Paryski to nie tylko Brama. W tym eksponowanym miejscu działa też oddział Instytutu Pileckiego – polskiej państwowej instytucji, która zajmuje się

badaniem i popularyzowaniem historii. Choć to centrum stolicy Niemiec, właśnie tu rozgrywa się konflikt, którego charakter jest czysto polsko-polski.

18 marca pracownicy oddziału Instytutu Pileckiego wysłali list do ministry kultury Hanny Wróblewskiej (pod ten resort podlega działalność Instytutu). „Nasz list jest reakcją na pojawiające się ostatnio publiczne komunikaty na temat naszej

pracy. W naszym odczuciu przedstawiają one jej niepełny, a wręcz wybiórczy obraz” – czytamy w piśmie, do którego treści dotarł „Tygodnik”.

Określenie „publiczne komunikaty” to dyplomatyczny eufemizm. Chodzi o wypowiedzi prof. Krzysztofa Ruchniewicza, który w listopadzie 2024 r. objął stery w Instytucie Pileckiego w Warszawie. W wywiadzie dla agencji PAP Ruchniewicz mówił o rzekomym braku kontroli nad oddziałem w Berlinie, sugerował odchudzenie zespołu i skupienie się na działalności badawczej.

Marcowy list to kolejny już etap sporu między nowym dyrektorem a berlińskim oddziałem Instytutu, który dotąd cieszył się dużą autonomią. I ma bezprecedensowe sukcesy w promowaniu nad Szprewą perspektywy historycznej zarówno Polski, jak też całego regionu Europy Środkowo-Wschodniej.

Dobre, ale PiS-owskie

W liście do ministry Wróblewskiej berlińscy pracownicy wyliczają swoje osiągnięcia: ok. 22 tys. uczestników ➔

→ wydarzeń zorganizowanych w 2024 r.; 2 tys. osób (w tym 300 nauczycieli) biorących udział w zajęciach edukacyjnych; obecność w czołowych niemieckich mediach; ważne partnerstwa zawiązane z niemieckimi instytucjami, m.in. z Senatem Berlina, Bundeswehrą i Archiwum Federalnym.

Tych zasług specjalnie nie trzeba referować naszym niemieckim rozmówcom.

– Strona polska zaprosiła mnie do Instytutu w Berlinie w 2020 r., jeszcze zanim objąłem urząd ambasadora w Polsce – opowiada „Tygodnikowi” Arndt Freytag von Loringhoven, który w latach 2020-22 pełnił funkcję ambasadora Niemiec w Warszawie. – Nie miałem wówczas wyrobionego zdania na temat tego miejsca. Słyszałem tylko, że jest to instytucja PiS-owska i z tego powodu stronią od niej przedstawiciele niemieckich instytucji.

– Zastanawiałem się, czy moja wizyta nie zostanie wykorzystana do legitymizacji bardzo nacjonalistycznej i czarno-białej ideologii promowanej wówczas przez polski rząd. Postanowiłem jednak sam wyrobić sobie zdanie na ten temat – wspomina Arndt Freytag von Loringhoven.

Dodaje, że koniec końców wystawa o rotmistrzu Witoldzie Pileckim, więźniu i organizatorze ruchu oporu w obozie Auschwitz, zrobiła na nim wielkie wrażenie. Przyznaje, że wcześniej znał losy Jana Karskiego i historię AK, ale o Pileckim wiedział niewiele.

– Później odwiedziłem też wystawę o rzezi Woli, która również zrobiła na mnie duże wrażenie. Tylko kilka osób w Niemczech wie o tej masowej zbrodni – przyznaje ambasador.

Nasz rozmówca twierdzi, że spotkał się z otwartością i życzliwością berlińskiego zespołu. Po wystawach oprowadziła go kierownik oddziału Hanna Radziejowska. Jednocześnie w Warszawie ambasador obserwował antyniemiecką kampanię rządu PiS-u i „reformę” sądownictwa.

W tamtym okresie dla wielu niemieckich partnerów był to wystarczający powód do omijania berlińskiej ekspozytury Instytutu Pileckiego szerokim łukiem – nawet jeśli doceniali program i zaangażowanie zespołu.

Oni byli pierwsi

Przełom przyszedł wraz z atakiem Rosji na Ukrainę.

– 23 lutego 2022 r., na dzień przed inwazją, zorganizowaliśmy demonstrację przed Rosyjskim Domem w Berlinie [to instytucja promująca rosyjską kulturę, finansowana przez MSZ Rosji – red.] – mówi w rozmowie z „Tygodnikiem” Iryna Shulikina z Vitsche, ukraińskiej organizacji działającej w Berlinie. – Podeszła do nas Hania [Radziejowska – red.] i zaproponowała, że jeśli będziemy potrzebować wsparcia, to możemy się zgłosić do Instytutu Pileckiego.

Dzień później Rosja uderzyła, a ukraińska diaspora w Berlinie zaczęła się organizować właśnie w Instytucie Pileckiego. – To było pierwsze miejsce w Berlinie, które nas wsparło w początkowej fazie pełnoskalowej agresji – podkreśla Shulikina.

Od tego momentu w programie berlińskiego instytutu na stałe zagościły wątki wspólne dla regionu Europy Środkowo-Wschodniej. Działano w duchu „Za wolność naszą i waszą” i myśli Jerzego Giedroycia. Podkreślano wspólnotę historyczną i kulturową całego regionu.

– Przede wszystkim ważne było dla mnie informowanie o sytuacji na Białorusi. W Niemczech zdecydowanie za mało mówi się o tym kraju. Być może ta regionalna otwartość pomogła Pileckiemu wzbudzić zainteresowanie i sympatię – uważa Freytag von Loringhoven.

Za działania na tym polu berliński oddział otrzymał w 2024 r. pisemne podziękowania od Swiatłany Cichanouskiej, liderki białoruskiej opozycji.

Dr Franziska Davies, znana w Niemczech historyczka z Uniwersytetu Monachijskiego, zwraca uwagę, że „berliński Pilecki” znalazł swoją niszę w gąszczu instytucji w niemieckiej stolicy: – Duża konferencja na tak ważny temat jak tradycje kolonialne Rosji i Niemiec wobec Europy Środkowo-Wschodniej została po lutym 2022 r. zorganizowana właśnie tam, a nie w niemieckiej instytucji – wskazuje w rozmowie z „Tygodnikiem”.

Franziska Davies jest jedną z ponad stu osób, które podpisały teraz petycję w obronie dotychczasowej formuły oddziału Instytutu w Berlinie. Inicjatorami petycji są te same ukraińskie organizacje, które w 2022 r. otrzymały wsparcie od „berlińskiego Pileckiego”. Pismo wraz z podpisami ma trafić do polskiej ministry kultury w kwietniu.

O czym to ma być?

W świadomości berlińczyków, którzy interesują się sprawami Europy Środkowo-Wschodniej, oddział Instytutu Pileckiego funkcjonuje dziś już jako sprawnie zarządzany, samodzielny byt.

Jednak Instytut Solidarności i Męstwa im. Witolda Pileckiego z siedzibą w Warszawie to duża instytucja ze znacznym budżetem. Co oznacza spore możliwości, ale i problemy. Podstawowym jest brak odpowiedzi na podstawowe pytanie: czym ma być ta instytucja? Instytut powołano za rządów PiS-u i wielu twierdzi, że z polityczną intencją budowania w kraju i zagranicą konkretnej narracji historycznej: tej, w której wybija się bohaterstwo i ofiarność Polaków w starciu z brutalnością XX-wiecznych totalitaryzmów.

Formalnie, zgodnie z ustawą, nacisk ma być kładziony na działalność badawczą. Praktycznie Instytut na przestrzeni ostatnich lat rozwijał się na wielu poziomach. Centrala na pewno zasłużyła się projektami cyfrowej archiwizacji dokumentów oraz stworzeniem bogatej biblioteki. Cenna jest inicjatywa powołania w ramach Instytutu Centrum Lemkina, które dokumentuje rosyjskie zbrodnie wojenne w Ukrainie. Jednocześnie Instytut nieustannie musi mierzyć się z zarzutami dublowania roli Instytutu Pamięci Narodowej.

Dochodzą do tego nieudolne działania związane z innymi oddziałami zagranicznymi. Filia w Nowym Jorku to bardzo drogie i bardzo puste pomieszczenie na Manhattanie. Wciąż niejasna jest formuła oddziału w szwajcarskim Rapperswil. W ramach Instytutu tworzony jest też Dom Pamięci Obławy Augustowskiej; jego otwarcie planowane jest w lipcu tego roku.

Wszystkie te działania, prowadzone od założenia Instytutu w 2017 r., kosztowały polskiego podatnika już ponad pół miliarda złotych.

„Instytut Pileckiego jest akurat dobrym przykładem złego zarządzania i braku pomysłu albo może nadmiaru pomysłów, powiem tak, żeby kogoś nie krzywdzić, pomieszczenia pomysłów w jednej sprawie” – mówiła w lutym senatorka Koalicji Obywatelskiej Barbara Zdrojewska na posiedzeniu senackiej Komisji Kultury i Środków Przekazu.

Zarzut blokowania działań

Czy w świetle tych wszystkich problemów nowe kierownictwo Instytutu nie powinno raczej wspierać sprawnie działający oddział w Berlinie?

„Tygodnik” poprosił Hannę Radziejowską, kierowniczkę berlińskiego oddziału, o wyjaśnienie intencji stojących za wysłaniem listu interwencyjnego bezpośrednio do ministerstwa kultury. Odmówiła nam komentarza, argumentując, że nie jest upoważniona do wypowiadania się na temat działalności Instytutu.

Rozmawialiśmy za to z jednym z pracowników oddziału, którego nazwisko widnieje pod listem (nazwiska samej Radziejowskiej i jej zastępcy Mateusza Fałkowskiego nie ma na tej liście), a także z trzema osobami pracującymi w centrali w Warszawie. Wszyscy zgodzili się rozmawiać pod warunkiem zachowania anonimowości.

Nasi rozmówcy twierdzą, że nowy dyrektor Krzysztof Ruchniewicz regularnie krytycznie wypowiada się pod adresem berlińskiego zespołu i kierownictwa, oraz że szuka sposobu na przeprowadzenie tam zmian personalnych. Główną przeszkodą ku temu ma być jednak fakt, że oddział działa na prawie niemieckim, co może utrudnić proces ewentualnych zwolnień.

Ruchniewicz ma też wstrzymywać bieżące inicjatywy oddziału. Jeszcze w listopadzie 2024 r. miał zablokować organizację konferencji naukowej na temat polskich dzieł sztuki zrabowanych przez Niemców w czasie II wojny światowej. Planowano ją na 19 i 20 marca, w Berlinie. Informacja o możliwości zgłaszania tematów wykładów jest jeszcze dostępna na stronach niemieckich partnerów. Ze stron berlińskiego oddziału wszystkie informacje o konferencji zniknęły.

„Zmiany fundamentalne”

„Tygodnik” skontaktował się z prof. Krzysztofem Ruchniewiczem i wysłał w sprawie berlińskiego oddziału szereg pytań. W nadesłanych odpowiedziach dyrektor Instytutu podkreślił, że „w momencie powołania IP ustawodawca zapisał, że mamy być instytutem badawczym. Z niezrozumiałych dla mnie powodów moi poprzednicy ignorowali treść ustawy. Tylko około 7 proc. wszystkich pracowników IP stanowili pracownicy naukowcy. Jako obywatelom i nowemu



HANNA RADZIEJOWSKA, kierowniczka
berlińskiego oddziału
Instytutu Pileckiego, 2024 r.

dyrektorowi IP, zależy mi na realizacji zadań przez instytucje publiczne zgodnie z wolą ustawodawcy”.

Ruchniewicz pisze też, że w organizacji przeprowadzane są zmiany: „zmniejszamy poziom zatrudnienia pracowników nienaukowych, chcemy zatrudniać pracowników naukowych, racjonalizujemy rozdmuchane wydatki, zamierzamy wprowadzić nowy regulamin, który konsultujemy z związkami zawodowymi i Radą Naukową. Jednocześnie dostosowujemy działalność merytoryczną Instytutu do celów wyznaczonych nam przez ustawodawcę”.

Dyrektor zaznacza, że „tak fundamentalne znaczące zmiany organizacyjne wymagają czasu”. Dodaje, że przedstawienie konkretów to kwestia „kilku tygodni”.

Ruchniewicz nie chce komentować informacji o zablokowaniu konferencji w Berlinie. „Mogę jednak zapewnić, że między innymi z racji mojej specjalizacji naukowej temat konferencji jest mi bardzo bliski i mam nadzieję, że taka konferencja się odbędzie” – dodaje.

Ruchniewicz jest Niemcoznawcą, był dyrektorem Centrum Studiów Niemieckich i Europejskich im. Brandta Uniwersytetu Wrocławskiego. Naukowo zajmował się m.in. kwestią reparacji i niemieckich świadczeń dla polskich ofiar zbrodni nazistowskich.

Pytanie zasadnicze

„Tygodnik” wysłał także osobny katalog pytań do Ministerstwa Kultury. W odpowiedzi centrum informacyjne resortu pisze, że za działania Instytutu Pileckiego odpowiada jego dyrektor. To w jego gestii leży też decyzja o likwidacji oddziałów. „Ministerstwo nie wpływa na decyzje dotyczące bieżącego działania Instytutu”.

Resort informuje też, że w ramach przeprowadzonego audytu w oddziale Instytutu Pileckiego w Berlinie stwierdzono nieprawidłowości: „dotyczyły one m.in. programu stypendialnego – nieprawidłowo przyznanych stypendiów, błędów w regulaminie i ogłoszeniach o konkursach stypendialnych, realizowaniu działań, których zakres wykraczał poza ustawowe zadania (...). Powyższe nieprawidłowości skutkowały zwrotem do budżetu MKiDN części dotacji podmiotowej”.

Ministerstwo nie odpowiedziało natomiast na nasze zasadnicze pytanie, jak ocenia dotychczasową pracę Hanny Radziejowskiej i jej zespołu w Berlinie.

Nie trzeba niszczyć

Na salomonowe rozwiązanie w kwestii berlińskiego oddziału liczy prof. Piotr Madajczyk, Niemcoznawca i historyk z Instytutu Studiów Politycznych PAN: – Ich działania poszły bardziej w kierunku historii publicznej i polityki historycznej, ale to nie oznacza, że teraz trzeba to wszystko zniszczyć. Można przeprowadzić zmiany, wzmocnić część badawczą, ale jednocześnie umożliwić te działania, które się sprawdziły. Potrzebna jest tylko wola polityczna – uważa prof. Madajczyk, który zasiada w Radzie Naukowej Instytutu Pileckiego.

Nadzieję na kompromis w sprawie berlińskiego oddziału ma także Arndt Freytag von Loringhoven. Po zakończeniu misji dyplomatycznej w Warszawie i powrocie do Niemiec emerytowany dyplomata wciąż zabiera głos w debatach publicznych. Skupia się na zagrożeniu, jakie putinowska Rosja stanowi dla Europy.

– Pilecki powinien zdecydowanie kontynuować prezentowanie perspektywy Europy Środkowo-Wschodniej w Berlinie – uważa Freytag von Loringhoven. – My, Niemcy, zdaliśmy sobie sprawę, że Polska znacznie lepiej rozumie rozwój sytuacji w Rosji. Możemy się od Polaków wiele nauczyć. © ŁUKASZ GRAJEWSKI